

Ekspresja impresji



Z Rafałem Blechaczem
o jego najnowszej płycie
i rozwoju kariery
rozmawia
Maciej Łukasz Gołębiowski.

MŁG: Od naszej ostatniej rozmowy minęły blisko cztery lata. Co się w tym czasie u Ciebie działo?

RB: Nic rewolucyjnego. Wydałem płytę z koncertami Chopina, a teraz premierę ma najnowszy krążek z Szymanowskim i Debussym. Poza tym typowe życie koncertowe – podróże, recitale i występy z orkiestrami; stopniowe budowanie reputacji i kariery. Ostatnio zacząłem się zajmować kameralistyką, czego wcześniej nie robiłem. To rodzaj hobby, ale bardzo przyjemnego. W styczniu 2012 wchodzę do studia nagrywać kolejną płytę dla Deutsche Grammophon. Data jej premiery nie jest jeszcze ustalona. Będzie to recital z repertuarem barokowym. Jest też plan jeszcze jednej płyty z orkiestrą. Będzie to coś z dojrzałego klasycyzmu.

Dopiero pracujesz nad repertuarem na płycie?

Mam zasadę, że do studia wchodzę wyłącznie z utworami, które dobrze ograłem na koncertach. Tak było z Chopinem, a teraz z Szymanowskim i Debussym. Jeśli więc ktoś uważnie prześledzi repertuar moich występów, powinien się domyślić, co będę za jakiś czas nagrywał.

Twoja kariera toczy się głównie za granicą. W Polsce jakoś ucichło na twój temat.

Najwięcej informacji można znaleźć na stronie internetowej, choć nawigowanie po niej czasem może sprawiać kłopot. O mojej karierze teraz faktycznie więcej wiedzą melomani w Niemczech, Francji czy Hiszpanii. W tych krajach koncertuję najczęściej. Ale chyba nie jest tak źle z występami w Polsce. W Roku Chopinowskim wystąpiłem tu bodaj pięć razy, czyli tyle samo, ile w Londynie od czasu wygrania konkursu. Myślę, że przyszedł po prostu czas na budowanie pozycji za granicą.

Mieszkasz jednak nadal w Nakle?

Nie, wyprowadziłem się na wieś między Bydgoszczą i Nakłem, gdzie kupiłem dom. Lubię ćwiczyć w godzinach późnowieczornych, co dla sąsiadów z bloku było uciążliwe, a i dla mnie atmosfera do pracy nie była idealna. Teraz mam pełną swobodę i nikomu nie przeszkadzam. Salon ma 44 metry i zaskakująco dobrą akustykę. Poprawiłem ją, wstawiając regały z książkami, kładąc dywan pod fortepian i wieszając grube kotary. A gdy mam już dość, mogę wyjść na taras, albo wybrać się na spacer po okolicy. Położenie też jest wygodne. Do granicy nie-

mieckiej jadę 2,5 godziny, czyli krócej niż do Warszawy.

Na koncerty jeździsz samochodem?

Tak, na europejskie trasy zwykle wybieram samochód. Dowozi mnie spod domu pod drzwi hotelu. Nie martwię się o ginące bagaże, ani o to, że trzeba być na lotnisku dwie godziny przed odlotem. Poza tym lubię jeździć samochodem, więc mam z tych podróży dodatkową przyjemność. Do niedawna miałem jałponczyka, teraz kupiłem sprawdzony produkt niemieckiej motoryzacji z trzylitrowym benzyniakiem. Daje spore możliwości na trasie.

W wywiadzie na temat najnowszej płyty wspominałeś o znakomitym fortepianie, który tam słycać. Jak go wybrałeś?

Znałem go wcześniej i od początku polubiłem. To kilkuletni steinway o numerze seryjnym 584364. Grałem na nim pierwszy recital w Hamburgu, a później trzy koncerty z orkiestrą. Gdy przysłała pora na wybór instrumentu na płytę, nie wahałem się długo. Porównałem go tylko z dwoma innymi, ale szybko okazał się bezkonkurencyjny. Oferuje głębię kolorystyczną nawet w najcichszym *pianissimo*, bardzo potrzebną w muzyce Debussy'ego, a do tego potężny, soczysty bas, konieczny by wydobyć ekspresję z Szymanowskiego.

Zdarzyło ci się grać na słabym markowym fortepianie?

Na szczęście nigdy na ważnym koncercie, ale zdarzały się egzemplarze bardzo zużyte, w których wiek stawał się dużą przeszkodą. Im lepsza sala koncertowa, tym większe prawdopodobieństwo, że takiego starocia się tam nie zastanie. W Paryżu, Londynie czy Amsterdamie zawsze mają znakomicie utrzymane fortepiany i pozostaje tylko kwestia wyboru tego, który bardziej się podoba. Czasem, gdy bardzo mi zależy na jakimś koncercie, a nie jestem pewny jakości instrumentu, zabieram go ze sobą. Mój ulubiony steinway wkrótce pojedzie do Hanoweru, gdzie dam pierwszy recital. Mam tam dużo znajomych, przyjaciół i rodzinę, więc chcę, żeby wszystko było na najwyższym poziomie.

Gdy ostatnio rozmawialiśmy, muzyki słuchałeś głównie w aucie, a w domu miałeś wieżę



Philipsa. Coś się zmieniło?

Philipsa zastąpiła Yamaha PianoCraft, do której podłączyłem głośniki B&W. Takie większe monitory; nie pamiętam modelu. W planie mam zakup podłógówek, ale to chyba będzie wymagało także zmiany źródła. W samochodzie nadal sporo słucham. Denerwuje mnie tylko ta straszliwa przejrzystość i ostrość brzmienia, częsta w nowych systemach. Zamiast muzyki jest pokaz żyłek, a to zabija narrację. Dlatego z sentymentem patrzę w stronę płyt gramofonowych. Tam można było zawsze posłuchać muzyki, a nie dźwięków.

Wracając do muzyki: czemu Debussy i Szymanowski razem na jednej płycie?

Były dwie koncepcje. Pierwsza zakładała, by nie pokazywać kontrastu pomiędzy impresjonizmem a ekspresjonizmem i podążać tylko jedną, impresjonistyczną ścieżką. W twórczości Szymanowskiego ona istnieje, choćby w popularnych „Metopach”. Ale jako że lubię kontrasty, a nurt skriabinowskiego ekspresjonizmu u Szymanowskiego jest mi szczególnie bliski, zdecydowałem się na to zestawienie. Mam nadzieję, że okaże się dla odbiorców ciekawym odkryciem. Mostem łączącym obie stylistyki jest na pewno czynnik wirtuozowski, który w wybranych utworach Debussy’ego istnieje i trzeba go pokazać równie sprawnie, jak stworzyć muzyczne wrażenie.

Ile odnalazłeś w tej muzyce Bacha? Patrząc na formy – toccata, fuga, preludium – u obu kompozytorów można się spodziewać nawiązań do wielkiego poprzednika.

Zafascynowały mnie preludium i fuga cis-moll Szymanowskiego, a w szczególności czterogłosowa fuga, której prosty, przejrzysty temat jest iście bachowski. W innych momentach też wielokrotnie trafiałem na struktury polifoniczne, harmonię, łączenie głosów, które intuicyjnie nawiązywały do Bacha. Nie wprost, ale jako reminiscencje, echa, podszeptu.

A w sensie czysto brzmieniowym, czy starałeś się, by Steinway zabrzmiał na tej płycie choć trochę barokowo?

Tu trzeba wkroczyć w sferę techniczną. Dla mnie Debussy to przede wszystkim impresjonista i tak staram się pokazywać jego utwory. Zresztą on sam w partyturze daje wskazówki, jak chciałby, aby te utwory wykonywać. Weźmy pierwsze dwie strony preludium z „Pour le piano”. Mamy tam forte i piano. Wyraźnie ograniczone, choć, oczywiście, nie jest to taka dynamika, jak u Mozarta czy Beethovena. Później, po odcinku jakby strukturalnym (choć do końca tak nie uważam), przychodzi uspokojenie i nawiązanie do środkowej części „Ogrodów w deszczu”. Lewa ręka gra szybkie szesnastkowe grupy na dźwiękach „d” i „e”, tworzące łagodny szmer, a prawa – dźwięki rozświetlone jakby srebrzystą aurą. Trzeba

tam użyć takiej artykulacji, by tę świetlistość pokazać. Ja to osiągam, naciskając prawy pedał niezwykle delikatnie, w 1/8, i czasem używam też lewego, choć to już zależy od fortepianu.

Sarabanda jest zupełnie inna. Mamy w niej sporo kolorów, które trzeba pokazać nie tylko dużymi plamami, ale nawet proporcjami dynamiki dźwięków budujących pojedyncze akordy. Toccata też jest niezwykła. Na pewno nie można jej wypukać jak typowy utwór tego typu, bo wyjdzie fatalnie. Trzeba mieć zawsze na uwadze szlachetność dźwięku i różnice dynamiczne w środkowej części. Na koniec kulminacja w forte, ale inna niż u Szymanowskiego. Z racji faktury nie da się tam osiągnąć tak potężnych brzmień. Jest za to genialne, a niby proste rozwiązanie harmoniczne. Akordy fis-moll i H-dur albo C-dur i G-dur powtarzane naprzemiennie w tak szybkim tempie, że powstaje wrażenie migotania. Fantastyczne!

Tylko jak to zagrać?

Sporo zależy od napięcia palca i dynamiki, w której mam grać. Jeśli myślę o dużych alikwotach, napięcie środkowej części palca jest dość duże, a jednocześnie robi się na klawiaturze jakby mały przecinek. Bierze się dźwięk na pedale, a uderzając przesuwa się palce nieco wzdłuż klawiatury. To daje wrażenie rozedrgania dźwięku i wewnętrznego rozwibrowania. Dodając do tego lewy pedał, uzyskujemy to wrażenie jasnego, świetlistego brzmienia. Wszystkie sposoby to efekt długich ćwiczeń w domu, a raczej świetnej zabawy przy fortepianie w wynajdowanie niuansów brzmieniowych. Efekty można będzie ocenić już wkrótce.

Nie miałeś chwil zwątpienia w tej swojej zabawie brzmieniem?

Ja nie, ale fortepian czasem się buntował i wtedy dzwoniłem po stroiciela. Nie tylko po to, by kluczem dociągnął struny, ale by nakłuł młoteczkę w odpowiednich miejscach, co przywracało właściwe brzmienie dźwiękom w konkretnej dynamice. Jak się okazuje, nie tylko palce, wyobraźnia, kolory czy mechanizm pedałowy, ale też przygotowanie instrumentu odgrywa istotną rolę. A na koniec

oczywiście sprawa ustawienia mikrofonów w studiu.

Jak się pracowało nad nagraniem?

Tym razem użyliśmy nieco innego sprzętu, choć chyba tych samych mikrofonów co w przypadku klasycznych sonat i „Preludiów” Chopina. Na pewno zmienił się układ mikrofonów. Poprzednie płyty nagrywaliśmy w trzech planach – tym najbliższym fortepianu, nieco dalszym i ostatnim, zbierającym pogłos sali. Teraz zastosowaliśmy cztery plany i nagranie brzmi nieco inaczej. Jest bardziej przestrzenne, a dźwięk jest miękki, choć nie traci żywotności i jędrności, które u Debussy’ego również są istotne. Nagrywaliśmy w tej samej sali co „Preludia”. Daje akustykę, która doskonale pasuje do tej muzyki. Ekipa była ta sama. Znamy się od lat i dobrze rozumiemy.

Przygotowujesz wiele wersji?

Zwykle nagrywam po kolei trzy, nie słuchając gotowych nagrań. Potem często się okazuje, że dwie pierwsze są do siebie podobne, a trzecia wyraźnie się różni.

Z reguły wybór pada na tę środkową, choć bywały wyjątki.

Twoja płyta z koncertami Chopina trochę mnie zawiodła. Czemu ta orkiestra i ten właśnie dyrygent?

Orkiestrę wybrałem, doceniając jej wyjątkowe brzmienie. Poznałem ich w 2008 roku, kiedy wspólnie graliśmy Saint-Saensa. Zafascynował mnie dźwiękowy aksamit, który potrafili utkać z dźwięków. Solista może się wtopić w akompaniament, wtulić weń niczym w poduszkę. Genialne są też instrumenty dęte; flet, fagot, obój to znakomici muzycy. Praca z nimi to czysta przyjemność. Tempa w częściach skrajnych były dyktowane przez Jerzego Semkowa, a on lubi taką dostojność i tradycyjne podejście. Solista ma być u niego młodzieńczy i wirtuozowski, a partie orkiestry mocno osadzone i potężne w brzmieniu.

Ciekawią mnie twoje dalsze plany. Do kiedy masz wypełniony kalendarz?

Rok 2014 jest już zaplanowany w 60 %. W lutym planuję wtedy tournée z orkiestrą helsińską po Austrii, Niemczech i Skandynawii. Wcześniej też na pewno sporo będzie się działo. Mam m.in. zaplanowany ważny debiut w USA z orkiestrą z górnej półki. Niedawno w Londynie grałem koncert z ich głównym gościnnym dyrygentem. Nie jest to do końca potwierdzone, więc na razie lepiej się nie chwalić.

Koncerty, wywiady, nagrania, podróże. A czas wolny?

Staram się robić tak, żeby zawsze się znalazł i dobrze go wykorzystać. Choćby na dalsze studia. Chodzę na seminaria z zakresu filozofii i estetyki muzycznej na UMK w Toruniu. Dają mi szersze pojęcie o muzyce jako sztuce zawieszona w czasie, będącej ulotną chwilą. Zupełnie jak u Debussy’ego, gdzie niby wszystko stoi w miejscu, a jednak płynie. Z taką wiedzą czuję się potem pełniej w pianistycznej interpretacji.

Powodzenia i dzięki za rozmowę!

RAFAŁ BLECHACZ

DEBUSSY
SZYMANOWSKI

NOWY ALBUM!



„Ciekawa harmonia, wspaniałe modulacje i piękne melodie
– myślę, że słuchaczom się spodoba” (Rafał Blechacz o *Sonacie* Szymanowskiego)

to kupisz
tylko w
empiku